świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

r 11 (1585) Warszawa, wtorek, 7 lutego 1967 r. Cena 50 gr

Ciekawe

Większość lata

● Spośród wszystkich żywych stworzeń żyjących na lądzie — trzy czwarte stanowią gatunki, które potrafią latać.

Foto R. Kropat

CZTEREJ PANCERNI I NAUCZYCIELKA

SĄ WSZYSCY W KOMPLECIE, cała załoga, Szarik też jest — przed furtką domu gościnnej nauczycielki, która zaprosiła do siebie polskich czołgistów. Pamiętacie te pełne humoru sceny przy stole podczas przyjęcia?

Był to trzeci, a może czwarty odcinek filmu.

Po serdecznych powitaniach na polskiej ziemi długi jeszcze i ciężki szlak bojowy czekał pancerną załogę Rudego. Wiemy, że głęboko przeżywaliście każdą przygodę czterech przyjaciół i psa. Rozstaliście się z nimi nad brzegiem morza. Czy zakończył się na tym szlak bojowy pancernej załogi? Co z Jankiem, co z Marusią? — czy się pobiorą? Na te i inne pytania znajdziecie odpowiedź już w następnym numerze, w wywiadzie, jaki przeprowadziliśmy z autorem powieści i scenariusza płk. Januszem Przymanowskim.

Ciekawe

Pieprz — bronią Indian

● Indianom Ameryki Południowej znane już były gazy bojowe. W czasie oblężeń spalali oni czerwony pieprz, uzyskując bardzo jadowity dym.

Świecące oczy rekina

● Uczeni norwescy zaobserwowali, że rekiny grenlandzkie posiadają oczy świecące jak żarówki. Rekin zwabia nimi zaciekawione światełkiem ryby, i kiedy zbliżą się do jego paszczy, pożera je.

Gwiazdy za dnia

● Gwiazdy są niewidoczne w ciągu dnia dlatego, że blask Słońca dominuje całkowicie nad ich słabym światłem. Jeśli jednak spojrzelibyśmy w ciągu dnia na niebo przez rurę wysokiego komina, oko nasze mogłoby uchwycić blask tych gwiazd, których promienie trafiają wprost do komina.

Ile jest gatunków

● W Polsce żyje około 370 gatunków ptaków. Z tej liczby 140 przylatuje w odpowiedniej porze na pobyt czasowy, ale aż 230 żyje z nami przez cały rok. Pomóż im w zimie!

Historia jednej rodziny

Napisał ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

SAMOCHODY jechały ze zgaszonymi światłami. Kilkaset metrów przed wioską Gliniak skręciły z szosy na leśną drogę i zatrzymały się. W następnej chwili zaroiło się od hitlerowców, którzy w milczeniu uformowali tyralierę i na rozkaz oficera ruszyli naprzód z karabinami gotowymi do strzału. Szli między drzewami ostrożnie, żeby nie robić zbędnego hałasu. Po kilkunastu minutach las zaczął rzednąć i żandarmi ujrzeli przed sobą drewniany budynek, który zaczęli otaczać. Ale, choć mróz trzymał tęgi i marzli, nie przystąpili od razu do akcji. Czekali, aż się nieco rozwidni...

*

Tymczasem w domu wszyscy spali, Stanisław Nalazek, gospodarz obejścia, prowadził wczoraj aż do późnej nocy konspiracyjne zebranie Polskiej Partii Robotniczej, na które przybyło wielu delegatów z Mińska Mazowieckiego. Potem jeszcze czyścił broń, którą przechowywał w specjalnej jamie pod podłogą domu. Magazyn był świetnie zamaskowany — — gdyby nawet zerwać podłogę, byłyby trudności z odszukaniem wejścia do tej... składnicy broni, przeznaczonej dla tworzących się w okolicy oddziałów Gwardii Ludowej.

(Ciąg dalszy na str. 4-5)

NIE DAJMY SIĘ ZIMIE!

WIDZIAŁEŚ dzisiaj rano dzieci z młodszych klas w szatni? Były zmarznięte, niezdarnie im szło rozbieranie. Nie wolno ci stać z boku i cieszyć się, że tobie jest ciepło, bo wiesz, jak się zabezpieczyć przed mrozem. Starsze dziewczęta i chłopcy powinni otoczyć opieką maluchy. Zorganizujcie dyżury w szatni, pomóżcie młodszym przed wyjściem ze szkoły ciepło się ubierać — zawiązywać szaliki, zabezpieczać uszy i ręce, dobrze zasznurowywać buty.

Jeśli mieszkacie na wsi, organizujcie wspólne marsze do i ze szkoły. Samotny marsz przez drogi zawiane śniegiem, wśród mrozu — może być niebezpieczny i groźny. Nie dajmy się zimie!

Złote ręce i mądre głowy — na start!

BIURO MŁODZIEŻOWYCH PATENTÓW czeka na wasze wynalazki

WŚRÓD SETEK TYSIĘCY naszych czytelników jest wielu takich, którzy swój wolny czas poświęcają na różnorodne prace techniczne — majsterkowanie, budowę szkolnych pomocy naukowych, wymyślanie różnych urządzeń ułatwiających pracę w domu. Są wśród was spece od elektrotechniki, radiotechniki, budowy robotów i urządzeń zdalnie sterowanych. Jedni pracują sami, w swoich domowych kącikach — pracowniach, inni w modelarniach LOK-u czy pracowniach technicznych Domów Kultury.

Dorośli specjaliści stwierdzają, że prace młodych majsterklepków wykazują coraz większą dojrzałość techniczną. Zdarza się nawet, że pomysły młodocianych wynalazców wykorzystane są w przemyśle!

I TY MOŻESZ BYĆ WYNALAZCĄ

Miesięcznik: **„Horyzonty Techniki dla Dzieci"**, **„Młody Technik"** oraz **„Wynalazczość i Racjonalizacja"** postanowiły stworzyć coś, czego jeszcze nie było: **BIURO MŁODZIEŻOWYCH PATENTÓW.**

Wszystkie nadesłane projekty opracowane przez wynalazców i racjonalizatorów, którzy nie ukończyli jeszcze 18 lat, będą z największą uwagą rozpatrywane przez specjalne kolegium ekspertów. Za oryginalne, nowe i najcenniejsze pomysły będą wydawane świadectwa autorskie, tak zwane Młodzieżowe Patenty.

Autorzy pomysłów powinni wykonać modele swoich wynalazków, przeprowadzić próby a następnie przysłać dokładne ich opisy, rysunki i fotografie.

Jeżeli autor pomysłu nie jest pewien, czy jego wynalazek jest naprawdę nowy i pożyteczny, powinien przysłać tylko jego opis a eksperci po rozpatrzeniu pomysłu wyjaśnią, czy warto nad nim dalej pracować. Zapobiegnie to opracowywaniu rzeczy już wymyślonych, czy też sprzecznych z prawami fizyki.

Pomysły i wynalazki mogą również być opracowywane i zgłaszane zbiorowo np. przez zespoły z pracowni technicznych Domów Kultury, szkolne kółka techniczne itp.

Krótkie opisy najciekawszych wynalazków będą publikowane w miesięcznikach: **„Horyzonty Techniki dla Dzieci"** i **„Młody Technik"**. A więc...

Złote ręce i mądre głowy — na start! Biuro Młodzieżowych Patentów czeka na wasze pomysły i wynalazki!

Korespondencje w powyższej sprawie, prace i pomysły należy wysyłać na adres:

Wydawnictwa Czasopism Technicznych
NOT
Warszawa 1, skrytka pocztowa 484.
(Biuro Młodzieżowych Patentów)

CO WY NA TO?

ZADZIWIAJĄCE zmiany zachodzą w modzie i zainteresowaniach chłopców i dziewcząt. Modę długowłosych wprowadziły angielskie nastolatki, a oto znów charakterystyczne dla nowych prądów wiadomości.

W wielu angielskich szkołach dla chłopców, na życzenie uczniów, wprowadzono kursy pielęgnowania niemowląt. Kursanci przewijają i kąpią najpierw lalki a potem żywe dzieci, które wydają się bardzo zadowolone ze swych opiekunów. Chłopcy uczą się również przygotowywać zupki i kaszki dla dzieci, a swoje zajęcia traktują bardzo serio.

Natomiast angielskie dziewczęta wstępują do coraz liczniejszych żeńskich drużyn piłki nożnej.

Na zdjęciu uczniowie ze szkoły w Stoscksbridge w czasie zajęć.

H. K.

Halo co słychać

UPARTA DZIEWCZYNA

MARGARET HOSFORD urodziła się niewidoma. Mimo że nie ma w swej rodzinie rosyjskich przodków, od najmłodszych lat interesowała się kulturą rosyjską. Na jej prośby matka czytała jej głośno powieści Tołstoja i nowele Czechowa w angielskim tłumaczeniu, zabrała ją również do teatru na sztukę „Mewa" — Czechowa. Najmilszym prezentem były dla niej płyty z muzyką ludową rosyjską i utwory kompozytorów takich, jak Czajkowski, Musorgski czy Prokofiew.

Oczywiście wszystko to skłoniło ją do nauki języka rosyjskiego. Byłoby to proste, gdyby nie fakt, że w Anglii nie ma książek ani słowników rosyjskich napisanych alfabetem Brailla, który, jak wiecie, jest specjalnym alfabetem składającym się z różnych układów wypukłych kreseczek i kropek umożliwiających niewidomym czytanie tekstu, przesuwając palcami po znakach. Jak więc nauczyć się gramatyki, jak zapoznać z wymową?

Pewnego ranka Margaret — nikomu się nie zwierzając ze swych planów — udała się do ambasady radzieckiej w Londynie. Ot, tak po prostu, aby poprosić o słownik angielsko-rosyjski drukowany alfabetem Brailla. Niestety, w ambasadzie nie mają takiego słownika.

— „W takim razie może mogłabym otrzymać rosyjskie książki pisane tym alfabetem" — prosi Margaret. — „Postaram się jakoś dać sobie z tym radę!

Dziewczynka otrzymuje w odpowiedzi całe stosy książek, od albumów dziecięcych ze zwierzętami i wierszykami aż po powieści Dostojewskiego. Całe wieczory Margaret spędza teraz na nauce, powtarza słowa i zdania, pomagając sobie płytami do nauki języka rosyjskiego, by przyswoić sobie tajniki prawidłowej wymowy. Już po miesiącu czyta płynnie rosyjskie teksty.

Po upływie pół roku Margaret znów odwiedza ambasadę, tym razem po to, by z podziękowaniem zwrócić pożyczone książki. Wzruszeni jej wytrwałością pracownicy ambasady postanawiają przygotować dla Margaret niespodziankę i piszą do Moskwy, aby za wszelką cenę wystarano się o słownik angielsko-rosyjski drukowany alfabetem Brailla.

Wyobraźcie sobie radość Margaret i zdumienie jej rodziny, gdy pewnego dnia, przed ich dom zajeżdża pierwszy sekretarz ambasady, towarzysz Szyszkin, by wręczyć dziewczynce upragniony słownik.

opr. H. KOLASIŃSKA

POCZCIWY PAN GILLARD

W ANGIELSKIEJ miejscowości Plymouth zatrzymany został przez policjanta 13-letni Marek Taylor, ponieważ wbrew przepisom ulokował się na tylnym siodełku bagażowym roweru swego kolegi. Policjant Owen Gillard zanotował nazwisko delikwenta i kazał mu się stawić w najbliższych dniach do komisariatu. Wkrótce chłopiec udał się tam z duszą na ramieniu, przewidując jakiś mandat karny. Spotkała go jednak miła niespodzianka. Poczciwy policjant wręczył chłopcu własny, niezbyt używany rower i powiedział:

— U mnie w domu stał bez użytku. Daruję go więc tobie, abyś nie próbował już niebezpiecznych eksperymentów zagrażających nie tylko tobie, ale i twojemu koledze. Ciesz się, że od dzisiaj będziesz jeździł na własnym rowerze. Uważam, że będzie to dla ciebie lepsze niż mandat karny.

KLINIKA zwierząt

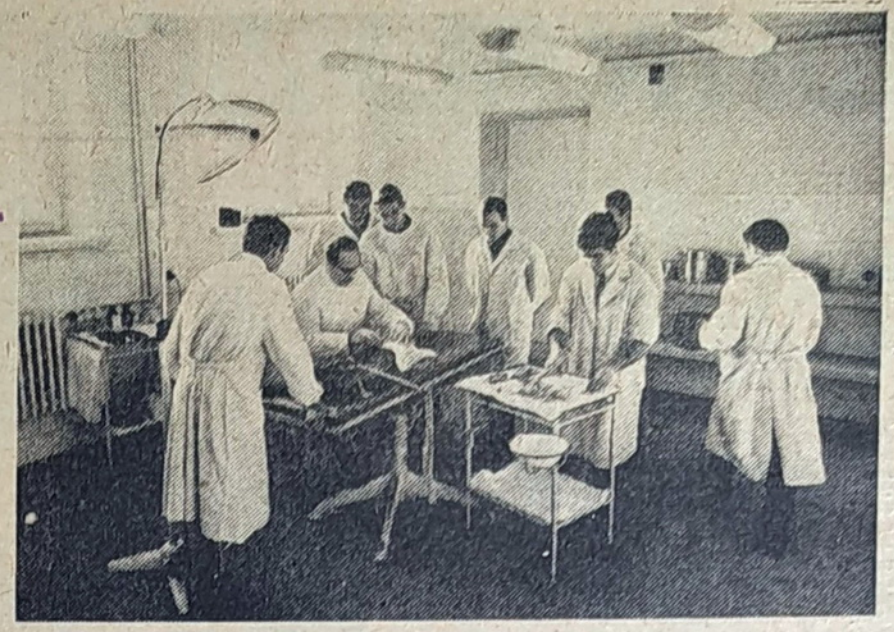

Operuje dr Tarasewicz. Asystują przyszli lekarze weterynarii, dziś jeszcze studenci. Pacjent jest uśpiony, nie czuje bólu.

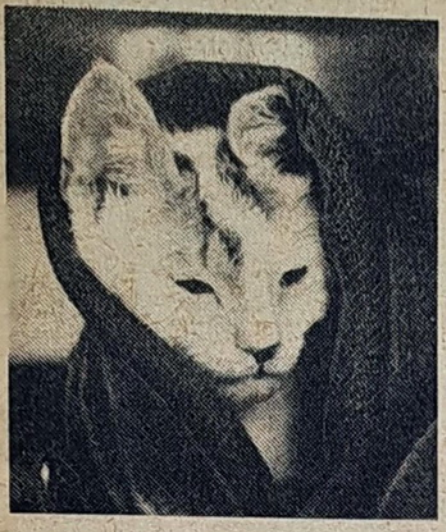

Kot jest chory, nie ma wątpliwości! Jeszcze chwilę trzeba poczekać — w lecznicy zwierząt też obowiązuje kolejka!

NA ULICY GROCHOWSKIEJ w Warszawie ma swoją siedzibę Wydział Weterynarii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, który kształci lekarzy, zajmujących się leczeniem i zapobieganiem chorobom u zwierząt. Pamiątkowa tablica przypomina, że słuchaczem tej uczelni był przed laty Stefan Żeromski.

Tuż za bramą znajdują się przychodnie dla zwierząt. Pacjenci czekają razem ze swoimi właścicielami. Ci, którzy przyszli tu po raz pierwszy, niespokojnie wciągają powietrze, pachnie medykamentami...

Opowiadają lekarze

— Zarówno na chirurgię jak na oddział chorób wewnętrznych trafiają do nas najczęściej psy. Złamane kończyny, przetrącony kręgosłup — oto wyniki złej opieki właścicieli, którzy pozwalają psom przebiegać ulicę nie prowadząc ich na smyczy. W robocie jest więc gips! Młode psy przyjmowane są znów z brzuszkami, w których utkwiły różne „skarby": piłeczki, kuleczki, niemowlęce smoczki...

— A pewnego razu — mówi pani dr Halina Zembrzycka — przybył do nas pies-bokser ze złotym zegarkiem w swoim łakomym wnętrzu... Wszystko się dobrze skończyło, pies jest zdrów i zegarek niewiele ucierpiał, oczywiście, dzięki pomocy aparatu rentgenowskiego, który w takich wypadkach jest nieodzowny. — dodaje pani doktor.

Większość wypadków leczy się ambulatoryjnie, kolejki pacjentów są długie, a i w nocy w czasie dyżurów lekarze też mają sporo roboty. Cięższe złamania, schorzenia spowodowane na przykład niewłaściwym odżywianiem oraz choroby zakaźne, leczy się jednak w klinice. I wtedy zwierzę zostaje na kilka lub kilkanaście dni pacjentem szpitala.

Samo badanie lekarskie jest dla zwierzaka dużym przeżyciem. Ale na ogół są to bardzo mili i wdzięczni pacjenci. Zwierzęta czują, że lekarz chce im przynieść ulgę. Psy np. bardzo łatwo przyzwyczajają się do szpitalnych rygorów i ogromnie przywiązują się do opiekującej się nimi pielęgniarki, pani Matejkowej. Nawet najgroźniejsze brytany stają się uległe i miękkie, kiedy pani Matejkowa podsunie im miskę z jedzeniem i trochę pogłaszcze.

Czasami psy tęsknią za swoją domową słomianką, ale bywa i tak, że po zakończonej kuracji, kiedy właściciel przychodzi po swojego psa, ten po czułym i bardzo serdecznym powitaniu, odwraca się i biegnie z powrotem do swojego szpitalnego „łóżka"! Zdarzyło się nawet raz, że pewien wyleczony pacjent, mieszkający niedaleko kliniki, wrócił tam po kilku dniach korzystając z nieuwagi swojego pana...

Do przychodni lekarskiej trafiają nie tylko psy, koty (w pogoni za wróblem robią nieopatrzny skok z któregoś tam piętra...) konie, króliki, chomiki, szynszyle, wiewiórki, jeże, kanarki, papużki, rybki, ale i zupełnie egzotyczne zwierzęta, mieszkańcy warszawskiego ZOO, a również i małpki hodowane przez prywatnych właścicieli.

Zwierzęta z ZOO leczy się w przychodni tylko w wyjątkowych okolicznościach, gdyż zmiana środowiska jest niebezpieczna dla ich zdrowia. Dzikie zwierzęta, choć wychowane już w ZOO, źle znoszą atmosferę sali operacyjnej, nasyconej zapachem leków i środków antyseptycznych.

Po jednym z pokojów spaceruje żółw — mimo zimy nie śpi i wczoraj podobno wrąbał sporo liści sałaty.

— Jest już zdrowy — mówi pan doktór — przyniesiono go do nas z pękniętą w kilku miejscach skorupą. Może żółw spadł z balkonu? Skorupę ściągnęliśmy plastrem i już się zrosła. A żółw otrzymał imię Kubuś i zadomowił się u nas na stałe.

Kiedyś przyniesiono do przychodni owiniętego w różowy puszysty ręcznik... kameleona. Po odwinięciu kameleon był różowy. Za chwilę znów zmienił swoją barwę.

— To chyba był najbardziej egzotyczny pacjent — mówi pani doktór.

— A ja znów leczyłem konia, który zaprzężony do wozu przewędrował cały świat i musiał się poddać u nas małemu zabiegowi chirurgicznemu — mówi pan doktór od dużych zwierząt. — Był to jeden z koni trapera amerykańskiego, podróżującego z całą rodziną również i przez Polskę.

*

Kiedy podziękowaliśmy za rozmowę lekarzom, na korytarzu przychodni czekali nowi pacjenci.

Tekst: A. GRZYBOWIECKA
Foto: J. DĄBROWSKI

RADY LEKARZY DLA WŁAŚCICIELI PSÓW

CO POWINIENEŚ?

1. Jeśli dostaniesz szczeniaka i chcesz go wychować na zdrowego psa, idź z nim jak najszybciej do lekarza, aby się dowiedzieć, jak psa należy karmić. Każdy pies już w wieku 6 tygodni powinien otrzymywać po parę deka chudego mięsa dziennie.
2. 8-tygodniowy szczeniak powinien być poddany szczepieniom ochronnym przeciwko wściekliźnie, a również nosówce, która jest bardzo ciężką i ogromnie niebezpieczną dla psów chorobą!
3. Prowadź psa na smyczy, nie pozwól, aby przebiegał przez ulicę, po której jeżdżą pojazdy!

CZEGO NIE WOLNO?

1. Nawet jeśli bardzo lubisz zwierzęta, nie zaczepiaj obcych psów! Nie każdy pies lubi, aby dotykał go ktoś obcy! Większość wypadków pokąsania spowodowana jest zabawą lub drażnieniem się z obcym psem, który nie zaczepiony — nie gryzie.
2. Nie dawaj psom do zabawy kamieni — niszczą im uzębienie!
3. Nie dawaj psom kości z drobiu, nie dawaj dziczyzny, ostrych sosów i przypraw!

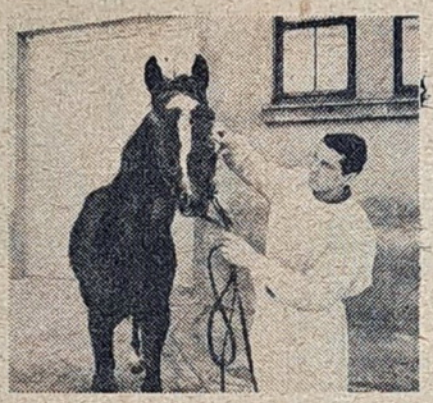

Jurand, (tak nazywa się ten koń) ma za sobą poważną chirurgiczną operację — trepanację zatoki szczękowej. Jeszcze kilka dni i koń wróci do swoich zajęć.

Pani dr Halina Zembrzycka pracuje w klinice od wielu lat. Ilu pacjentów przeszło przez jej dobre ręce? Psy, chomiki, koty, kanarki, wiewiórki, króliki, a raz nawet kameleon...

To nie mysz, lecz chomiki — proszę państwa! Trzeba będzie interwencji lekarza, bo wspólna spiżarnia doprowadziła do sąsiedzkiego nieporozumienia, między chomikami-gryzoniami, w wyniku której nastąpiło niewielkie skaleczenie...

ODNALEZIONY

Z E STAREJ, zniszczonej, nie dającej się reprodukować fotografii, spogląda twarz jasnowłosego dwunastolatka o wysokim czole i bystrym spojrzeniu. Chłopiec uśmiecha się wesoło — czeka go bowiem podróż do rodziców, których nie zna, do kraju, którego nie pamięta...

*

We wrześniu 1945 r., do przytułku w Wittenberge, w którym przebywały odebrane rodzicom i wywiezione następnie przez hitlerowców do Niemiec polskie dzieci, zgłosiła się kobieta. Była to Rosina Friske. Pozostała sama na świecie. Męża pochłonęła wojenna zawierucha. Dzieci nigdy nie miała. Wyraziła więc chęć zaadoptowania któregoś z przebywających w przytułku malców.

Z małej, wygłodzonej gromadki wybrała trzyletniego, wątłego chłopaczka. Miał wzdęty od głodu brzuszek i jasną kędzierzawą czuprynkę. Kiedy go tu przywieziono, miał dwa lata. Nie umiał jeszcze mówić. Nie wiedział, jak się nazywa. Przezwali go z niemiecka: Dieter a zamiast nazwiska — Unbekannt, co oznacza: Nieznany. Teraz miał dostać przybraną matkę i obce nazwisko. Zahukany, trwożliwie wodził wzrokiem za nową, nieznajomą opiekunką...

*

Minęło 10 lat. Dieter chodził do szkoły, dobrze się uczył, tylko czasami zrywał się ze snu z krzykiem trwogi. W podświadomości powracało wspomnienie przeżytych strasznych chwil z wczesnego dzieciństwa, brutalnej przemocy, rozpaczliwych łez rozłąki i tęsknoty.

Jego prawdziwi rodzice w Polsce przez cały ten niemal dziesięcioletni okres nie ustawali jednak w poszukiwaniach, które naprowadziły ich wreszcie na ślad zaginionego od 1944 r. syna. Któregoś popołudnia 1954 r., po powrocie z pracy, Rosina Friske zastała w domu urzędowe pismo, zawiadamiające ją, że chłopiec naprawdę nazywa się Andrzej Siodła i że należy go odesłać do Polski, do rodziców.

*

Znowu minęło 10 lat. Wśród reprezentacyjnej kadry pięściarzy, przygotowujących się do Igrzysk Olimpijskich w Tokio, przebywał mistrz Polski w wadze lekkośredniej — Andrzej Siodła. Nikt nie poznałby w tym przystojnym, zgrabnym, wysportowanym młodzieńcu wybiedzonego Dietera Nieznanego z transportu dzieci polskich, wywiezionych podczas okupacji do Niemiec. Andrzej ukończył Technikum Mechaniczne, zdobył zawód precyzyjnego ślusarza-tokarza i uprawiał pod kierownictwem doskonałego trenera Pawła Szydły — prawej ręki znakomitego Feliksa Stamma — sport pięściarski w Poznaniu.

W 1963 r. stanął na podium mistrza Polski w Warszawie na Torwarze. W tym samym roku walczył świetnie na mistrzostwach Europy w Moskwie. Wylosował jednak pechowo. Jego przeciwnikiem w pierwszej już walce był mistrz Europy, a później i Igrzysk Olimpijskich — Borys Łagutin, rutynowany pięściarz radziecki. Siodła stoczył jedną

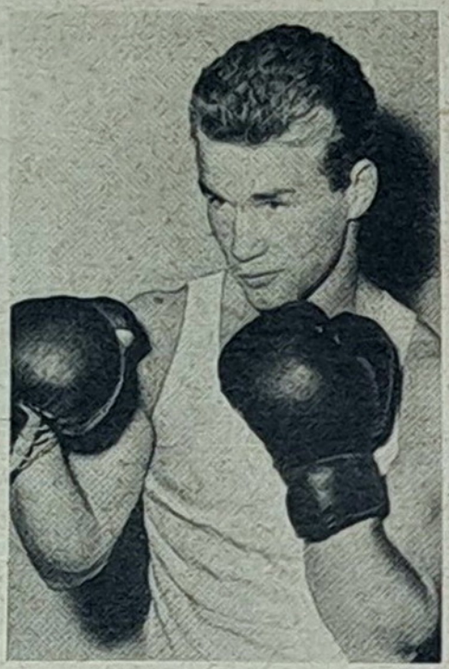

z najpiękniejszych walk swego życia i przegrał stosunkiem głosów 2:3, a więc znalazło się aż dwóch sędziów, którzy jemu przyznali zwycięstwo.

Od tego czasu walczył jeszcze wielokroć, zdobywając dwukrotnie tytuł wicemistrza Polski, jednak do reprezentacji olimpijskiej się nie zakwalifikował. Brakowało mu dobrej techniki obrony, której takim niezrównanym mistrzem był Leszek Drogosz. A bez skutecznych uników, dających możliwość natychmiastowego kontrataku, bez umiejętnego krycia się — nie ma w boksie wielkich perspektyw. Andrzej Siodła lubił atakować i był w ataku niezmordowany. Nie lubił się natomiast bronić. I dlatego trudno mu było zdobywać laury.

Musiał zrezygnować z wielkiej kariery sportowej. Ożenił się, ma synka, mieszka w Gliwicach, gdzie pracuje. Pięściarstwo uprawia nadal i jest jeszcze dla wielu bardzo groźnym przeciwnikiem. Ogranicza się do obrony barw swego klubu ŁTS Gliwice (dawniej Łabędy), któremu wiele zawdzięcza. Jest to klub pierwszoligowy i jego zawodnicy cieszą się doskonałą marką.

Dom, sport, praca zawodowa i wiele ubocznych zainteresowań — to wszystko wystarczy, by wypełnić życie. Ufny w swój dobry los, idzie Andrzej Siodła przez to życie z uśmiechem.

E. CUNGE

Foto: M. Szymkowski i CAF

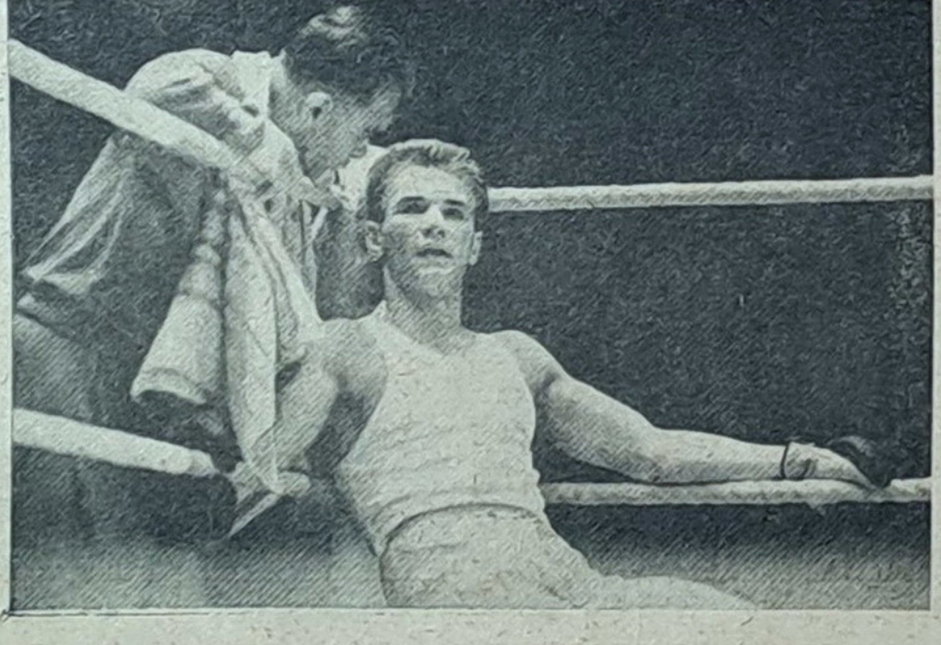

Ciąg dalszy ze str. 1

Dwaj najstarsi synowie — Janek i Wacek — też mieli twardy sen. Wrócili do domu przed niespełna trzema godzinami — utrudzeni, ale szczęśliwi. Udała się akcja! Rozkręcili kilkadziesiąt metrów torów kolejowych, przewrócili kilka słupów linii telefonicznej, no i dali wreszcie w skórę szwabowi z Parysowa. Zasłużył na karę. Pełnił funkcję sołtysa i nie było dnia, ażeby nie zdzielił jakiegoś Polaka — za to, że mu się nie ukłonił, albo nie zszedł z drogi... Chrapali więc chłopaki. Tylko najmłodszy Władek kręcił się w łóżku, bo widocznie coś mu się śniło.

W drugiej izbie spała pani Stefania Nalazkowa z córkami: Stasią, Zosią i Helą.

Nagle zaszczekał pies. Pani Stefania przebudziła się, wstała i podeszła do okna. Chciała zobaczyć, co się dzieje na podwórku.

W tym samym momencie ktoś zaczął walić w drzwi.

— Otwierać! — wołano po niemiecku.

Zerwali się błyskawicznie: chwycili za broń.

— Uciekajcie! — zawołała pani Nalazkowa. Kobiet może nie ruszą!

Janek doskoczył do okna, próbował je otworzyć, ale natychmiast rozległy się serie z automatów. Wszyscy natychmiast padli plackiem na podłogę. Władek i Hela zaczęli głośno płakać. Matka otworzyła klapę od magazynu broni i wsunęła dzieci do jamy. Rozkazała im milczeć za wszelką cenę. Potem sama chwyciła za karabin.

*

Przestają walić w drzwi. Na minutę zapada cisza. Zaczyna się rozjaśniać. W pewnej chwili słyszą coś po niemiecku. Teraz ktoś tłumaczy po polsku:

— Jeśli nie wyjdziecie, to podpalimy dom!...

Dym, pełno dymu. Nie można otworzyć oczu. Gorąco — potwornie gorąco. Pali się dach, za chwilę płomienie ogarną drewniane ściany. Muszą wyskoczyć z ognia! Może uda się przedrzeć do lasu. Nie każda seria jest celna. Władek i Hela powinni przeżyć pod podłogą w tej jamie. Szkoda, że nikt już tam nie może wejść. Chłopcy pomagają matce i siostrom. Chcą wyskoczyć bocznym oknem. Seria za serią... Ginie Stanisław Nalazek, stary komunista, członek PPR i Gwardii Ludowej. Nie wydostaje się też jego żona i najstarsza córka Stanisława. Janek, Wacek i Zosia przedzierają się do lasu. Są czarni od dymu, zrozpaczeni po stracie najbliższych, ale żyją...

Stało się to 31 stycznia 1943 roku

*

Hitlerowcy otaczają zgliszcza. Są wściekli, że nie przywiozą do gestapo nikogo. Pościg za trzema uciekinierami nie powiódł się. W południe zdecydowali się odjechać...

Późnym wieczorem do spalonego domu Nalazków podeszło z lasu trzech ludzi: „Stalowy" (Stanisław Zawisza), „Mokry" (Zy-

Historia jednej rodziny

gmunt Bielecki), 1 „Cegła" (Janek Rżysko). Zaczęli rozgrzebywać stertę popiołu. W pewnej chwili natrafili na żelazną klapę magazynu broni. Władek i Hela żyli jeszcze...

„Janek Kolejarz" idzie na akcję

ZOSTAŁO ICH Z RODZINY PIĘCIORO: najstarszym był teraz Janek Nalazek. Liczył 23 lata. Wacek był o 4 lata młodszy, Zosia miała 16, Hela 14, a Władek 11.

Zamieszkali u znajomych, w różnych miejscowościach, nie mieli więc okazji widywać się codziennie. Janek poszedł od razu do lasu. Został wysłany na teren okręgu radomskiego. Został dowódcą partyzanckiego oddziału Gwardii Ludowej i zasłynął wkrótce z szeregu śmiałych akcji. Trudno je wszystkie wyliczyć. Wysadzali w powietrze mosty na ważnych szosach, zrywali sieć telefoniczną, rozlepiali afisze i odezwy, przeznaczone dla ludności, rozbijali posterunki.

W miejscowości Jasice był niemiecki obóz pracy. Przebywało w nim wielu Polaków: zapędzani do pracy ponad siły, ginęli z głodu i przemęczenia. Śmiałym, zdecydowanym atakiem oddział Janka rozbił wartowników. Ludzie uzyskali wolność, a wielu mężczyzn przyłączyło się wtedy do oddziału.

— Pewnego październikowego dnia 1943 roku miał się spotkać w gajówce pod Malachowem z szefami kilku oddziałów Gwardii Ludowej. Chodziło o zaplanowanie wspólnych akcji. Nie wrócił z tej wyprawy. Otoczony przez Niemców bronił się wraz z 10 gwardzistami przez wiele godzin. Wróg ściągał bez przerwy posiłki. Pod koniec dnia już tylko 3 gwardzistów odpierało natarcie 800 żołnierzy. Nie złożyli broni do końca.

Ci, co przeżyli, wspominają Janka jako doskonałego organizatora i rozważnego dowódcę. Chodził w kolejarskim mundurze, nazywano go więc „Janek Kolejarz".

Nieoczekiwany zrzut

WACEK TRAFIŁ DO DREWNICY. Zatrzymał się u Tadeusza Konopki, który był przyjacielem jego ojca i sekretarzem Komitetu Dzielnicowego PPR.

Atmosfera w nowym domu była taka sama jak u jego rodziców. Nie było dnia, ażeby u „Czerwonego" (taki pseudonim nosił tow. Konopka) nie zjawiali się żołnierze Gwardii Ludowej. Ustalano plany akcji dywersyjnych, przygotowywano broń dla tworzących się oddziałów.

Wacek włączył się w nurt tej konspiracyjnej pracy. Był ponury jak noc, jeśli musiał siedzieć bezczynnie — cieszył się, gdy wyruszał w teren. Był mistrzem w odbieraniu Niemcom broni. Jak to robił?...

Miał serdecznego kolegę, z którym zawsze chodził. Żyć bez siebie nie mogli. Na akcję wyjeżdżali do Warszawy. Znali miasto jak własną kieszeń — a szczególnie dobrze się czuli na Pradze i Targówku. Lubili przebywać w pobliżu dworca Wileńskiego. Tłok był tu zawsze większy niż gdzie indziej, a i policjantów kręciło się sporo. Ci ostatni nie chodzili w zasadzie w pojedynkę, bo się bali, ale czasami któryś z żandarmów odłączał się od grupy, bo musiał coś załatwić, albo po prostu szedł na piwo do pobliskiej budki. Tych kilka chwil wystarczyło, ażeby hitlerowca pozbawić broni. Zjawiali się przy nim niespodziewanie.

— Ręce do góry! — wołał Staszek po niemiecku i przytykał zaskoczonemu żandarmowi straszak do pleców, a Wacek błyskawicznie wyciągał mu z kabury pistolet. Sekundy... i już ich nie było. Wpadali na jakieś podwórko, przesadzali jeden mur, drugi i już byli na innej ulicy. Szukaj wiatru w polu.

Któregoś dnia otrzymali wiadomość, że Niemcy odkryli tajną drukarnię „Gwardzisty" i zdemolowali ją doszczętnie. Należało jak najprędzej uruchomić nową. Koszt jej wyposażenia miał wynosić 300 tys. okupacyjnych złotych. Pieniędzy jednak nie było. Znajdowały się natomiast w kasie właściciela sklepu mięsnego w Rembertowie, który był Niemcem. Tym, który miał mu złożyć wizytę i zabrać pieniądze był... Wacek. Ubezpieczać go miało 4 gwardzistów.

Akcja była ryzykowna. Sklep sąsiadował z dwoma blokami, zamieszkanymi przez oddziały wojska. Właściciel miał broń. Wystrzał stawiał na nogi jego sąsiadów.

Poszli na akcję nocą. Stanęli w bramie domu, stojącego naprzeciwko sklepu. Przez jakiś czas obserwowali okna rzeźnika. Na tle zasłon majaczyły cienie wielu mężczyzn. Więc u handlarza było jakieś przyjęcie.

Mijały kwadranse. Gdy ktoś przechodził przez bramę, udawali lekko zawianych. Wreszcie goście zdecydowali się pożegnać gospodarza. Kiedy ostatni zniknął im z oczu, wyszli z bramy i stanęli pod sklepem. Wacek wszedł na klatkę schodową. Stąpał po stopniach swobodnie i głośno. Gdy był przy drzwiach, zapukał energicznie.

— Kto tam? — zapytano.

Odpowiedział po niemiecku.

— To ja, zostawiłem u ciebie rękawiczki.

Drzwi się otworzyły: błysk przerażenia w oczach szanownego handlarza.

— Ani słowa — rozkazał Wacek. Jeśli oddasz pieniądze, będziesz żył.

Zabrali wtedy kilkaset tysięcy złotych. Można było przystąpić do montowania nowej drukarni.

Taki właśnie był: odważny, lecz często smutny. Kiedy tylko mógł, wyjeżdżał do swojej wsi. Nie bał się rozpoznania przez agentów, wiózł kwiaty na zgliszcza domu, pod którym spoczywali jego rodzice i siostra.

Mieli właśnie zbiórkę w lesie, w pobliżu Rybienka, kiedy nagle usłyszeli ciężki warkot samolotu. Było ciemno i nie mogli rozpoznać znaków, ale domyślali się, że samolot jest obcy. Warkot potężniał — maszyna musiała lecieć bardzo nisko. Wreszcie ją ujrzeli. Był to ciężki, czteromotorowy samolot angielski — który, o dziwo, zaczął zataczać nad lasem kręgi. Nie odlatywał, lecz krążył...

— Może lotnik miał tu coś zrzucić — zaczął się głośno domyślać Wacek.

— Oprócz nas nie ma tu żywej duszy!

— Więc dajmy lotnikowi jakiś znak.

Szybko rozpalili kilka ognisk, zaczęli mrugać w noc latarkami.

Lotnik rzeczywiście dojrzał znaki, bo zawrócił jeszcze raz i wtem ujrzeli czaszę spadochronu. Coś leciało na ziemię.

Okazało się, że lotnik zrzucił wielki, 300 kg pojemnik z bronią i materiałami wybuchowymi. Cieszyli się z tego prezentu jak dzieci. Będzie teraz można spotęgować akcję oznaczoną kryptonimem „Kolej". Pod tym hasłem kryła się akcja sabotażowa, polegająca na dezorganizowaniu niemieckiego transportu kolejowego. Była to akcja niezwykle ważna. Im częściej bowiem wylatywały w powietrze pociągi z bronią, szyny, semafory, zwrotnice, tym szybciej zbliżała się klęska Niemiec na froncie wschodnim.

„Skarb" zrzucony przypadkowo z samolotu ukryto w lesie. Nie mogli przenieść wszystkich materiałów od razu do Drewnicy. Postanowili opróżniać zasobnik stopniowo, w miarę potrzeb. Jeździli więc kolejką do Słupna, a stąd szli pieszo do lasu. Nikt nie zwracał specjalnej uwagi na ich wypchane teczki. Przypuszczano, że to handlarze, których tutaj nie brakowało.

Tego sierpniowego dnia 1943 roku jechali właśnie w czwórkę z materiałami wybuchowymi. Siedzieli w różnych przedziałach. Był tłok. Pociąg dojeżdżał do stacji, ale nieoczekiwanie zatrzymał się przed dworcem.

— Wysiadać! Wysiadać! Rewizja!

Trzej koledzy Wacka spokojnie wysiedli z wagonu. Teczki ukryli pod ławkami. Wacek został. Nagle wyskoczył z wagonu i trzymając swoją teczkę w ręku zaczął biec w stronę lasu.

Jedna seria, druga. Nie dobiegł. Koledzy zobaczyli, jak zatrzymał się i padł na ziemię.

Ostatnia trójka

W KILKA TYGODNI POTEM ZGINĘŁA ZOSIA. Była sanitariuszką w oddziale G.L. „Czarnego Tadka". Ranna w czasie jednej z potyczek, wpadła w ręce hitlerowców. Próbowali wydobyć od niej jakieś informacje: nie powiedziała słowa. Rozstrzelano ją tego samego dnia.

Hela z Władkiem znaleźli opiekę w domu Jana Skoneckiego w Legionowie: nie doczekali jednak końca wojny. Dziewczynka została aresztowana wraz z kilkoma innymi dziewczętami w opuszczonym domu, w pobliżu stacji kolejowej w Michalinie. Znajdowała się tu tajna radiostacja partyzancka. Niemcy zabrali Helę do Warszawy. Przebywała w więzieniu w Alei Szucha. Po raz ostatni widziano ją dnia 27 lipca 1944 roku na więziennym dziedzińcu. Potem zaginął po niej wszelki ślad.

12 stycznia 1944 roku hitlerowcy otoczyli dom Jana Skoneckiego w Legionowie, w którym przebywał ostatni z rodziny Nalazków: 12-letni Władek.

Nikt z mieszkańców nie wyszedł z okrążenia.

*

Stoję przed kamiennym obeliskiem, wzniesionym w miejscu, gdzie przed 24 laty znajdował się dom rodzinny Nalazków.

Wzdłuż drogi stoją w dwuszeregu uczniowie z Gliniak i harcerze z pobliskiego Mińska Mazowieckiego. Wyprężeni na baczność stoją żołnierze Podoficerskiej Zawodowej Szkoły im. Rodziny Nalazków. Choć szkoła znajduje się w Elblągu, przyjechali tu, ażeby złożyć żołnierską przysięgę.

Pochylają się sztandary, w ciszy padają żołnierskie słowa.

Pada śnieg. Spoglądam na rosnące na pustym placyku jabłonie. Posadził je stary Nalazek przed 24 laty. Drzewa rozrosły się pięknie... Nieco z boku wystaje z ziemi cementowa obręcz studni. Pani Nalazkowa czerpała z niej wodę. Tuż za pustym placykiem ciągnie się las. Za tymi sosnami musieli wtedy stać, stamtąd bili seriami po oknach i drzwiach.

Padają ostatnie zdania żołnierskiej przysięgi. Tu, na tym tragicznym miejscu, mają one swoją wymowę. Kilka starszych kobiet ze wsi wyciera chusteczkami oczy. Pani Nalazkowa miałaby dziś tyle lat, ile one teraz. Pan Stanisław byłby chyba na emeryturze. Pewnie hodowałby pszczoły w ogródku. A Stasia, Janek, Wacek, Zosia, Hela i Władek... — Co robiliby oni?

Podczas ostatniej wojny wielka była tragedia naszego narodu. Nie było rodziny, która nie opłakiwałaby swoich bliskich. Nalazkowie zginęli wszyscy.

Rys. J. Rocki

Cezary Chlebowski

„NA RATUNEK CICHOCIEMNEMU" (6)

rys. J. Rocki

WOLNOŚĆ

„Wania" i „Ryś" przez szparki w płytach dykty obserwują „przedpole". „Wujek" wylazi z szoferki i spiera się o coś z patrolem własowców. Widzi, że żołnierze chcą zarobić na flaszkę, więc czepiają się wszystkiego. Trzej zbiegowie ukryci pod zwałami dykty pocą się mimo 20-stopniowego mrozu. Nie wiedzą, czy lada chwila nie dojdzie ich pościg i wtedy wóz zatrzymany na drodze na pewno zostanie poddany szczegółowej rewizji.

Naraz przykuwa ich uwagę dialog „Wujka" z podoficerem własowców:

— Wóz należy do „Bauleitung der Luftwaffe No 808 Moskau". Musimy na jutro rano być w Brześciu, ale mnie się bardzo chce spać. Dam ci trzy butelki wódki, niech twoi żołnierze popilnują samochodu przez noc, a ja się prześpię.

Własowiec akceptuje tę umowę.

Ciężarówka zejchała z szosy i wtacza się za stodoły. „Wujek" idzie spać, a żołnierze popijając co chwila, sumiennie pilnują wozu.

„Wania" z dwoma kolegami nie śpi całą noc. Mróz dochodzi do 30 stopni, ale nie czują tego. Na szosie jeżdżą motocykle. Co chwila zapytują o coś patrolujących własowców. Ci jednak odpowiadają niezmiennie:

— Ne znajem.

Noga „Wani" puchnie w oczach, więc cichutko ściągają z niej but.

O świcie zgłasza się „Wujek" Dobija targu z żołnierzami, dodaje im jeszcze jedną flaszkę „na procent". Kręci się przy tym obok wozu, by wysondować, czy „zawartość" nie zamarzła. Lekkim pukaniem dają znać, że żyją.

Wóz rusza, po dwóch dniach, mimo wzmocnionych posterunków na granicy Generalnej Guberni, dociera do Warszawy.

*

Tymczasem ford gna całą mocą silnika do Brześcia. Już niedługo powinni minąć Kobryń, tu będzie pierwszy sprawdzian, czy Niemcy zdążyli zaalarmować okolicę. W oddali skupisko wielu zabudowań. „Ponury" odsuwa szybko okienka i rozkazuje siedzącym na skrzyni:

— Przygotujcie broń i udawajcie, że śpicie. Ogień rozpoczynacie dopiero po moim pierwszym strzale.

Sam odbezpiecza pistolet i układa na kolanach dwa granaty. Wjeżdżają w ciemne wymarłe miasteczko. Na dobrą sprawę należałoby je wyminąć, ale nie ma bliskiego objazdu — bez nakładania dziesiątków kilometrów. Zresztą na środku Kobrynia jest rozgałęzienie dróg, do którego tak czy owak trzeba dojechać. Jadą więc wypełniając cichą uliczkę dudniącym łoskotem silnika. Już w dali widać przyciemnioną latarnię na skrzyżowaniu. Tuż pod nią, na chodniku stoi w dwuszeregu, w hełmach kilkudziesięciu żandarmów, a przed nimi całą szerokość jezdni zajmuje kilku z bronią gotową do strzału. „Monter" zwilża wyschnięte nagle wargi i syczy przez zęby. „Ponury" widać dostrzega te objawy zdenerwowania, bo mówi cicho:

— Spokojnie, tylko spokojnie. Daj klakson i zwolnij. Gdyby próbowali zatrzymać — podjeżdżaj wolno, a potem na gaz i do zakrętu. Reszta, to nasza sprawa.

„Monter" zwalnia, skraca światło i daje krótki sygnał. Niemcy nie reagują. Ciężarówka pędzi prosto na nich. „Ponury" podnosi pistolet na wysokość szyby i wtedy żandarmi się rozstępują. Teraz nogą na gaz i jak najszybciej do zakrętu. Strzelają? Nie, cisza spokój. To niepojęte. Już domy zasłaniają im plecy. Nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, że w napięciu nerwowym „Monter" zamiast w prawo, na Brześć, skręcił w lewo. Ford na pełnych obrotach pędzi teraz w kierunku przeciwnym, przelatuje przez peryferyjną dzielnicę i wyskakuje na pole. Przed nim czarna wstęga lasu. Ile tak jadą? Pięć minut, może dziesięć. Nim ktokolwiek się zorientował, ford stanął. „Monter" wyskakuje z szoferki i teraz dopiero dostrzega, że szosy nie ma, skończyła się, że ford stoi w w lesie zakopany po skrzynię w śniegu.

Wysypują się wszyscy z wozu i zamiast deliberacji, niesie się po lesie gromki śmiech. „Ponury" wie, że więcej w tym śmiechu odprężenia nerwowego niż wesołości, więc zarządza:

— Pięć minut odpoczynku. Wolno palić.

Sam zaś odciąga na bok „Montera" i odbywa z nim krótką naradę.

— Wygrzebiemy się stąd?

— Trzeba założyć łańcuchy. Ale sromotnie zawaliłem sprawę. Dalej nie znam drogi. Przez Kobryń byłoby dosyć niebezpiecznie wracać. Czy nie ma tu jakiejś bocznej drogi?

„Ponury" przywołuje „Jurka".

— Znasz tu jakiś objazd, żeby nie wracać do Kobrynia, a wjechać na drogę do Brześcia?

„Jurek" drapie się po głowie.

— Znam, ale to straszliwe bezludzie. Trzeba by założyć łańcuchy. Wyjedziemy na szosę koło Władynki.

Żołnierze dopalają ostatnie papierosy. Na rozkaz „Ponurego" czterdzieści rąk łapie pudło i podnosi bez pomocy lewara, a „Jurek" i „Monter" sprawnie zakładają łańcuchy. Jednak nawet z ich pomocą musi upłynąć spora chwila, nim pusty ford wygrzebie się z bezdroża. I zaraz potem zaczyna się karkołomna jazda po drodze-niedrodze, po szczerym polu pełnym dziur i zapadlin. Sobie tylko znanym sposobem „Jurek" orienuje się, gdzie jechać, co chwila wóz zapada się tak, że „Monter" już żegna się z resorami, a ludzie z paki klną, ile wlezie. Wreszcie po wielu kilometrach takiej męczarni dojeżdżają do szosy. Stąd do majątku pod Brześciem, gdzie znajduje się melina, jest już niedaleko. „Ponury" poleca żołnierzom zejść z samochodu i oddać broń. Niknie ona w skrytce forda i znów następuje rozdział ludzi. Cała grupa z „Ponurym" „Czarką", „Jurkiem" udaje się do majątku pieszo, zaś „Monter" i „MSZ" jadą fordem prosto na punkt graniczny. Trzeba jak najszybciej usunąć zza Bugu ten łatwy do rozeznania dowód rzeczowy.

Jest godzina 0,50, gdy ford zatrzymuje się na komorze celnej. I wtedy „MSZ" łapie się za głowę.

— Rany boskie, przecież my nie mamy przepustki, a już nie zdążą wystawić — mówi zrozpaczony.

Tymczasem celnik wychodzi ze strażnicy. „MSZ" wyciąga więc z torby przy drzwiach butelkę koniaku, wciska w ręce „Monterowi" i woła:

— Szybko, odbij, to znajomy, zagadamy go.

„Monter" bije dłonią w dno butelki i gdy celnik otwiera drzwi, zwala mu się w ramiona z pijackim bełkotem. Celnik odskakuje klnąc szpetnie, ale już z drugiej strony nadbiega zataczając się „MSZ" i woła, że dla kochanego przyjaciela wiozą specjalnie z Homla ten koniak i że będzie skończonym łobuzem, jeśli im odmówi. Celnik spogląda na butelkę, marka jest przednia, łagodnieje więc nieco i chce ją zabrać do celnicy. „MSZ" gorąco protestuje to jest do wypicia na miejscu z nimi — mówi — a nie w samotności. Sprzeczają się dość ostro wreszcie celnik, któremu widać bardzo zależało na zatrzymaniu trunku, przecina spór:

— Jeżeli natychmiast nie odjedziecie, zadzwonię do Terespola do Gestapo i powiem, w jakim stanie jedziecie.

Przeklinając Niemca wdrapują się niepewnie do samochodu i zygzakiem przejeżdżają granicę. „Monter" ociera spocone czoło.

— Czy to już koniec niespodzianek? — pyta „MSZ"-ta.

— Chyba tak, jesteśmy już przecież w Guberni.

Myli się jednak „MSZ". Tylko przez cztery godziny mieli spokojną jazdę. Tuż przed świtem, w Wawrze, zatrzymał ich patrol granatowej policji. Starym policyjnym zwyczajem jeden kontrolował papiery, drugi zaś skoczył na skrzynię, by sprawdzić zawartość samochodu. Zadziwiająco szybko zakończył swe oględziny i z dużym pośpiechem domagał się zakończenia kontroli.

— Co on nas tak szybko puścił? — zastanawiali się.

— Zimno, noc się kończy, chcą chłopaki iść jak najszybciej do domu — wykoncypował „MSZ".

Doprowadzili wóz na Kazimierzowską i ledwo dowlekli się do domu na zasłużony odpoczynek.

Po tym pińskim maratonie „Monter" spał półtorej doby. 20 stycznia rano zjawił się znów na Kazimierzowskiej, gdyż czekała go kolejna tura do Terespola. Zajrzał odruchowo do skrzyni i zmartwiał — w rogu leżał sobie spokojnie granat pozostawiony widać przez któregoś z uczestników akcji. To był powód wyjątkowego pośpiechu kontrolującego ich policjanta pod Wawrem.

Wieczorem tego dnia ford przywiózł do Warszawy z Terespola część grupy uderzeniowej akcji „Pińsk": „Ponurego", „Czajkę", „Esesmana", „Kawę" i „Krę". Reszta — 9 ludzi miejscowych — została w Brześciu.

Cdn.

GWIAZDY

BIG →

BEATU

I

PIOSENKI

Jerzy POŁOMSKI

POCHODZI Z RADOMIA. Tam też ukończył Technikum Budowlane i zamierzał studiować na Politechnice architekturę. Przyjechał więc do Warszawy na wstępne egzaminy. Zdał, ale nie został przyjęty z braku miejsc.

— Już sądziłem, że wypadnie mi zrezygnować ze studiów. — wspomina Jerzy Połomski w rozmowie ze „Światem Młodych" — ale okazało się, że Wyższa Szkoła Aktorska ogłosiła jeszcze dodatkowy termin egzaminów wstępnych. Zgłosiłem się. No i... zostałem przyjęty.

— Jest więc pan absolwentem Szkoły Aktorskiej i ma prawo występować w teatrze jako aktor. Czemu więc znamy pana tylko z występów piosenkarskich?

— Po ukończeniu wydz. estradowego w Szkole Aktorskiej występowałem przez dwa sezony w warszawskim teatrze „Buffo", w rewii: „Czym chata bogata". Wkrótce jednak zorientowałem się, że nie mam tam zbyt dużych możliwości. W wyborze dobrych piosenek a tylko w tej dziedzinie czułem się najlepiej— odpowiada piosenkarz.

— Wystąpił więc pan z teatru i zgłosił swą współpracę do Polskiego Radia, tak? Jeśli mnie pamięć nie myli, nagrał pan tam wówczas swoją pierwszą piosenkę pt. „Nieznajoma z 18-stki", która to melodia stała się wkrótce szlagierem.

— Tak „Nieznajoma" okazała się dla mnie dobrą gwiazdą, bo wkrótce otrzymałem nowe piosenki, z propozycją ich nagrania. Niebawem publiczność, która dotychczas znała mój głos jedynie z radia, miała możność poznać mnie także i na estradzie.

Jerzy Połomski ma na swoim artystycznym koncie także liczne wyjazdy zagraniczne. Był z występami w Stanach Zjednoczonych, we wszystkich krajach demokracji ludowej oraz kilkakrotnie w Związku Radzieckim. Jego ubiegłoroczny pobyt w tym kraju trwał 5 miesięcy. Piosenkarz w ekipie zagranicznych przedstawicieli 8 państw (na Festiwalu „Melodie Przyjaciół") występował w Moskwie, Leningradzie, Kijowie, w Soczi, Jałcie, Rydze, Wilnie, Tallinie... Wszędzie przyjmowany był bardzo serdecznie. Jego piosenki Rosjanie znają tak dobrze jak swoje własne, tym bardziej, że Połomski doskonale śpiewa w ich rodzimym języku. Zwłaszcza popularna polska piosenka „Jak to dziewczyna" w rosyjskim tłumaczeniu zrobiła tam wprost furorę.

Połomski śpiewa swoje piosenki także pu bułgarsku, czesku, niemiecku, serbsku. Ostatnio włączył do swego repertuaru najnowszą, bułgarską piosenkę pt. „Co mówi wiatr", kompozytora Emila Dymitrowa (znanego u nas z Sopockiego Festiwalu z piosenki „Arlekino") oraz rosyjską melodię „Mój dom na ciebie czeka". Zamierza także opracować świetną piosenkę niemiecką „Róża była czerwona", którą tego roku w Sopocie śpiewał Gerry Wolf — NRD.

Jerzy Połomski lubi śpiewać dla młodzieży. Uważa ją za jedną z najwdzięczniejszych publiczności. Specjalnie dla niej przygotował piosenkę z repertuaru „Animalsów" pt. „Dom wschodzącego słońca" oraz kompozycję Modugna „Zawsze sam". Wszystkie te piosenki będzie można już niebawem usłyszeć na płycie, gdyż Polskie Nagrania przygotowują właśnie nowy long-play z piosenkami tego popularnego piosenkarza.

W życiu prywatnym Jerzy Połomski jest kawalerem. Interesuje się dobrymi reprodukcjami malarskimi i wartościową literaturą oraz... udaje, że świetnie jeździ zimą na nartach, (jak sam ze śmiechem nam się zwierzył, zjechał nawet kiedyś z Kasprowego, ale... z takimi przygodami, że już więcej nie próbował tej trasy).

Z ostatnich muzycznych sukcesów Jerzego Połomskiego należy odnotować jego udział w telewizyjnej Giełdzie Piosenki, gdzie piosenka pt. „Hiszpański walc" w jego brawurowo-tanecznym wykonaniu zdobyła I miejsce.

A. WIELGOŁAWSKA
Foto: Z. Nasierowska

Klub Siedmiu Przygód

DZIŚ DALSZE NOWOŚCI z serii KLUBU SIEDMIU PRZYGÓD. Nie wprowadzonych objaśniamy, że jest to seria książek, wydawanych przez „Naszą Księgarnię" ze znaczkiem, który można sobie obok obejrzeć. Książki z tej serii wyróżniają się jednak nie tylko podobną okładką, ale przede wszystkim tym, że w każdej z nich można znaleźć przygodę na sto dwa. Oto nowe książki i nowe przygody Klubu Siedmiu Przygód:

Zbigniew Nienacki — PAN SAMOCHODZIK I TEMPLARIUSZE, str. 320, cena 18 zł.

Pan Samochodzik jest po prostu posiadaczem niezwykłego samochodu i stąd także przezwisko. Templariusze to dawny, sławny i bogaty zakon. O zakopanych skarbach tego zakonu na terenie Polski ukazała się wzmianka w gazecie. Nikt nie wie dokładnie, gdzie się ten skarb znajduje, nikłe wiadomości sprowadzają wszystkich „poszukiwaczy złota" nad jedno mazurskie jezioro. Pan Samochodzik z trójką dzielnych harcerzy powodowany ciekawością historyka także poszukuje skarbu, w czym mu pomagają harcerze i nieoceniony samochód. Pan Samochodzik i harcerze starają się pokrzyżować plany innym poszukiwaczom, którzy depczą im po piętach. Sensacja, przygoda i nieco historii. Czyta się łatwo i przyjemnie i nawet jest z tego pożytek.

E. W. Hildick — PTASZEK JONES, str. 135, cena 11 zł.

Fura śmiechu i ochocho! Ptaszek Jones postanowił zostać popularnym gwizdaczem, czyli gwizdać popularne piosenki. Nie śpiewać zwyczajnie, a gwizdać. Jego kolega zwany Pewniakiem odkrył w nim ten niezwykły talent do gwizdania i postanowił z tego skorzystać — został jego impresario. Co z tego wynikło, sami się przekonacie. Bomba śmiechu! Żal tylko, że książka jest zbyt cienka, czyta się krótko, za to wesoły nastrój zostaje na dłużej.

Jerzy Broszkiewicz — DŁUGI DESZCZOWY TYDZIEŃ, str. 321, cena 19 zł.

Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Nawet długi deszczowy tydzień przynosi sensacje i wciąga bohaterów w niebywałą przygodę kryminalną: poszukiwania złodziejskiej bandy, która kradnie dzieła sztuki. Zresztą nie ma co zachwalać, znacie autora i wiecie już, co potrafi.

Adam Bahdaj — PIRACI Z WYSP ŚPIEWAJĄCYCH, str. 237 cena 15 zł.

Autor „Wakacji z duchami", „Do przerwy 0:1", „Podróży za jeden uśmiech" i wielu innych ciekawych książek, tym razem też nie zawiódł. Jego bohater odbywa niezwykłą podróż po Jugosławii, podróż z przygodami, bo bez pieniędzy. Zresztą sam tytuł świadczy dobrze o tym, co jest w środku.

László Hárs — ZWYCIĘZCA PILNIE POSZUKIWANY, str. 246, cena 13 zł.

Co robią węgierscy pionierzy na obozie pod Budapesztem, jakie mają tam przygody — o tym dowiesz się z tej książki. Dobrze jest czasem wiedzieć, jak żyją twoi rówieśnicy w innych krajach.

Dla kolekcjonerów serii Klubu Siedmiu Przygód podajemy tytuły książek wznowionych, które być może są jeszcze w księgarniach. Są to: H. Ożogowska — **„Dziewczyna i chłopak, czyli heca na 14 fajerek"**; M. Brandys — **„Śladami Stasia i Nel"** i **„Z panem Biegankiem w Abisynii"**; J. Broszkiewicz — **„Ci z dziesiątego tysiąca"**; A. Bahdaj — **„Wakacje z duchami"** i **„Podróż za jeden uśmiech"**; A. Cz. Centkiewiczowie — **„Tumbo z Przylądka Dobrej Nadziei"**; B. Arct — **„Rycerze biało-czerwonej szachownicy"**; E. Niziurski — **„Awantura w Niekłaju"** i **„Sposób na Alcybiadesa"**.

Kto nie ma kolekcjonerskich zapędów, może sobie wszystkie te książki wypożyczyć od kolegów lub po prostu ze szkolnej biblioteki. Tak czy tak — przyjemna lektura zapewniona.

B. T.

Miasteczko bajek

W odległości 5 km od Jałty 75-letni emeryt, Paweł Biezuchow, wybudował w lesie drewniane „miasteczko bajek". Poszczególne budowle, skonstruowane według starych ludowych sposobów ciesielskich, symbolizują najpopularniejsze bajki rosyjskie. Podczas zwiedzania miasteczka dzieci zapoznają się z miniaturowymi przykładami dawnego budownictwa ludowego.

Na zdjęciu — chatka na kurzych nóżkach.

ŚWIAT MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół: Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-01. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO. Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 129 T-40

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24

Tajemnice SKARBÓW

PAMIĘTACIE film „Alibaba i 40 rozbójników"? Przypominacie sobie więc przezabawnego Fernandela, który wymawiając tajemnicze hasło, otwierał wrota w wielkiej górze i wkraczał do podziemi, zapełnionych skarbami. Historia przedstawiona w filmie, należy do baśni... z 1001 nocy — ale skarby naprawdę istnieją i są ludzie, którzy całe życie poświęcają, ażeby wpaść na ich trop. W wielu wypadkach wysiłki poszukiwaczy idą na marne — skarbów nie można odszukać. Dla przykładu weźmy chociażby olbrzymią fortunę angielskiego korsarza i admirała w jednej osobie — Drake'a, który zgromadził ponoć olbrzymią ilość złota i srebra i całe to bogactwo ukrył na którejś z wysepek Morza Karaibskiego. Chętnych odnalezienia tej fortuny były dziesiątki, lecz mimo iż przeszukano setki wysp i wysepek, przy których Drake kotwiczył swój okręt — nie nie odnaleziono.

Nie zawsze jednak poszukiwaczy prześladuje pech. Wiele pirackich skarbów zdołano odnaleźć. Nie tylko zresztą pirackich — wiele jest wciąż zagadek do rozwiązania.

KLEJNOTY PLEMIENIA CZIBCZÓW

Rys. M. Kościelniak

POCZĄTKI tej sensacyjnej historii sięgają XV wieku. Wtedy właśnie hiszpańscy konkwistatorzy dotarli do rejonów dzisiejszej Kolumbii. Tereny te zamieszkiwali wówczas Indianie z plemienia Czibczów. Doszło do zbrojnych starć: niestety, indiańscy wojownicy uzbrojeni w dzidy i proce, nie sprostali Hiszpanom w walce — kraj Czibczów został podbity.

Najeźdźcy przystąpili od razu do grabieży. Przede wszystkim poszukiwali złota. Przedmioty z tego szlachetnego metalu, znalezione w świątyniach i w domach przetapiano w sztaby. W końcu jednak złota zabrakło, zaczęto więc torturować indiańską starszyznę, by dowiedzieć się od niej o dalszych ukrytych skarbach. Ale wodzowie nie potrafili już wskazać złotodajnych miejsc. Opowiadali tylko, że skarby mogą być jeszcze w jeziorze Guatavika. Nikt jednak im nie wierzył. Opowieści brano za fantazję i bajki.

Mijały lata — plemię Czibczów, tępione i grabione ze wszystkiego, topniało w oczach.

W roku 1580 kupiec z Limy — Antonio Sepulveda, znalazł się przypadkowo w pobliżu jeziora Guatavika. I on usłyszał legendę o wielkich skarbach, spoczywających na jego dnie. Uwierzył tym podaniom. Zebrał kilkudziesięciu Indian i kazał im wyciosać w skalistym brzegu jeziora kanał. W ten sposób odprowadził z jeziora część wody. I wtedy w odsłoniętych partiach brzegu rzeczywiście dojrzał skarby. Złote przedmioty tkwiły w mule jak rodzynki w cieście. Wybuchła wielka sensacja. Nie zdążono jednak jeziora osuszyć całkowicie.

W roku 1912 powstało w Anglii specjalne towarzystwo akcyjne, które postanowiło osuszyć jezioro za wszelką cenę. Sprowadzono specjalne pompy i woda obniżała się bezustannie. W czarnym mule znajdowano prawdziwe skarby sztuki sprzed wielu wieków. I kiedy myślano już, że uda się odsłonić samo dno jeziora, nastąpił nagły zwrot w całej tej akcji poszukiwawczej. Odsłonięty brzeg zaczął twardnieć na beton. Nie potrafiły go rozbić nawet świdry i ciężkie młoty. Zaniechano prac. Mają one być wznowione w tych latach. Prawdopodobnie skarby zostaną wydarte. Muszą ujrzeć światło dzienne, by głosić chwałę zaginionego już indiańskiego plemienia.

I jeszcze jedno. Zapewne jesteście ciekawi, skąd tyle złota znalazło się w jeziorze. Wyświetlono tę zagadkę. Otóż w dawnych, świetnych czasach plemienia Czibczów, odbywała się raz do roku nad jeziorem Guatavika wielka uroczystość religijna. Król plemienia brał... złotą kąpiel. Obsypany złotym pyłem zanurzał się w fale jeziora. Po tej ceremonii setki wojowników rzucało w wodę złote przedmioty, wykonane przez siebie. W ciągu setek lat na dnie jeziora musiały się więc zebrać skarby o niezrównanej wartości. Dotychczas wydobyte złote przedmioty są chlubą kolumbijskich muzeów. Będzie ich jeszcze więcej.

BURSZTYNOWA KOMNATA

NIE BYŁO TAKIEJ drugiej na świecie. Była unikatem jedynym w swoim rodzaju, dziełem sztuki niepowtarzalnym. Jej cenę obliczano na 50 milionów dolarów. Chodzi o słynną bursztynową komnatę, znajdującą się w jednym z najpiękniejszych pałaców w Europie — a mianowicie Jekaterinińskim — zbudowanym w drugiej połowie XVII wieku, w miejscowości, która dziś nazywa się Puszkino i leży pod Leningradem. Jak sama nazwa wskazuje, ta pałacowa komnata (wielka sala) zbudowana była z dużych brył czystego, naturalnego bursztynu. Okładziny, pięknie rzeźbione przez najwybitniejszych artystów tamtych czasów, sięgały od podłogi do sufitu. Na całkowite obudowanie tej komnaty zużyto aż 50 m^3 tego... morskiego złota.

Kiedy latem 1942 roku wojska hitlerowskie zajęły Puszkino, od razu obstawiono cały pałac. Specjalne oddziały zaczęły plądrować po komnatach i piwnicach, szukając kosztowności. I wtedy to właśnie bursztynowa komnata... znikła. Została rozebrana na części i zapakowana do skrzyń, które z kolei w tajemnicy wywieziono. Cały ten rabunek przeprowadzono dyskretnie, tylko niewielu dygnitarzy hitlerowskich wiedziało o tym.

Kiedy w rok później wojska radzieckie przystąpiły do kontrofensywy i odzyskały Puszkino, bursztynowa komnata ziała pustką. Do dziś nie wiadomo, gdzie wywieziono bursztyny. Do dziś trwają poszukiwania.

ZŁOTY TABOR OPUSZCZA MOSKWĘ

JEST ZIMA ROKU 1812. Armia cesarza Napoleona I opuszcza płonącą Moskwę. Rozpoczyna się dramatyczny odwrót oddziałów francuskich, przez bezkresną, śnieżną i mroźną krainę. Tylko najwytrwalszym i najdzielniejszym żołnierzom udaje się powrót do rodzinnych stron.

Rys. M. Kościelniak

Cesarz Napoleon I opuszczając Moskwę ograbił miasto z dzieł sztuki, zabrał ze sobą wszystkie złote i srebrne przedmioty, znalezione w pałacach i cerkwiach. Ten wielki skarb załadowano na 25 masywnych wozów, zaprzężonych w dwie pary koni każdy. Przez wiele dni ten... złoty tabor ciągnął za armią — ale niestety, nie udało się cesarzowi przywieźć cennych skrzyń do Paryża. Skarb zniknął. Ostatni raz widziano wozy w obozie pod Wiazmą, skąd wyjechały dalej na zachód. Są na to dość przekonywające dowody, w postaci starych notatek i pamiętników. Szkocki pisarz Walter Scott, w swojej pracy o Napoleonie, pod datą 1 listopada 1812 roku zapisał:

„Widząc niebezpieczeństwo zagrażające cofającej się armii, Bonaparte, aby ułatwić poruszanie się, postanowił swe moskiewskie łupy zatopić w jeziorze. Dalej ich wieźć już nie było można, a Napoleon nie chciał, aby znów powróciły do Rosjan".

Polecenie cesarza wykonano bez świadków — a ci, którzy asystowali przy zatapianiu skrzyń na pewno zginęli — nie przekazali bowiem żadnej konkretnej informacji o miejscu zatopienia, bądź ukryciu złotych i srebrnych przedmiotów.

Do dziś nie wiadomo, gdzie mogą spoczywać skrzynie, choć różni ludzie, a nawet całe zespoły poszukiwaczy brały udział w penetracji wielu rzek i jezior w okolicach Wiazmy.

Ale w ostatnim czasie sprawa ruszyła z martwego punktu. Oto uczeni radzieccy zwrócili się do rządu z prośbą o zezwolenie na przeprowadzenie badań w małym, zarośniętym jeziorze, znajdującym się w pobliżu miejscowości Semljewo. Jeziorko to znajdowało się w pobliżu trasy przemarszu wojsk napoleońskich. Nie ten fakt jest zresztą najważniejszy. Przy pomocy specjalnych aparatów pomiarowych wykryto na dnie jeziora jakieś metalowe przedmioty, nienormalnie odbijające fale radiowe. Dotychczas jednak nic nie udało się wydobyć na powierzchnię, gdyż spoczywają one na dnie pod warstwą mułu i iłu.

W semljowskim jeziorze przeprowadzono też analizę chemiczną wody i ustalono, że na przykład zawartość srebra w wodzie przekracza o 100 proc. zawartość srebra w sąsiednich jeziorkach i stawach. Czyżby dlatego, że na jego dnie spoczywa srebro sprzed 154 lat?

Być może tajemnica ukrycia moskiewskich skarbów doczeka się wkrótce rozwiązania.